

# XXIII PIKNIK COUNTRY MRAĞOWO 2004

Rozpoczęło się jak zwykle: po błogosławieństwie sympatycznej pani burmistrz, Otolii Siemieniec, sześć urodziwych dziewczyn wykonało hymn *Wszystkie drogi prowadzą do Mrągowo*, cała widownia zawtórowała w refrenach i zrobiło się od razu bardzo sympatycznie.

Po raz pierwszy nasza Redakcja objęła patronat prasowy nad festiwalem. W tym roku kłopoty finansowe były większe niż w przeszłości, organizatorem ponownie zostało Stowarzyszenie Muzyki Country, a energiczna pani prezes, Halina Romaniszyn, cięła koszty na prawo i lewo. Widocznym tego śladem była szczątkowa scenografia, ograniczona do tego co niezbędne. Gorzej, że oszczędności dotyczyły również kwestii technicznych, choćby ilości zainstalowanych reflektorów. Jednak mniejsze środki nie kłuły w oczy przeciętnego widza, zespołów i solistów było mniej więcej tyle, co zawsze, a koncerty ciągnęły się długo w noc.

Pierwszy dzień przyniósł wznowiony konkurs „Country Europa”. Idea jest prosta: pod adresem organizatorów zainteresowani przysyłają profesjonalne nagrania jednej własnej piosenki i jednego standardu, a najciekawszy zapraszani są do Mrągowo, gdzie ocenia ich międzynarodowe jury. Powyższa formuła niesie z sobą poważne niebezpieczeństwa. Największym jest kupowanie kota w worku: wiadomo, elektronika pozwala nawet z dyletanta pozbawionego głosu uczynić prawie Gartha Brooksa, a z wielokrotnego nagrywania kupionych na dzień instrumentalistów tworzy się niezła kapela. Z drugiej strony pomysł stanowi jedyną szansę poznania

ciekawych zespołów, o których nikt nic nie wie. Poza tym na poprzednich edycjach Country Europa grupy zmieniały się jak w kalejdoskopie, po dwóch piosenkach wchodził następni. Teraz każdy z zespołów występował przez pół godziny, a jury oceniało tylko dwa ostatnie utwory. Powyższa decyzja okazała się zbyt ryzykowna, wieczór momentami ślimaczył się okrutnie za sprawą kiepskich gości i kłopotów akustycznych.

Proszę mi wybaczyć, nie będę się rozwodził nad wszystkimi uczestnikami konkursu. Największym negatywnym zaskoczeniem była włoska grupa **Texarcana**. Pół godziny w jej towarzystwie może wpłynąć na ogólną niechęć do Italii. Niech im Bóg odpuści knajpiane granie i czytanie tekstów z pulpitu. Jak powiedział solista grupy, we Włoszech jest pięć zespołów grających country. Jeśli inne grają podobnie, to nie ma się co dziwić. Ciao! Błado wypadli też Niemcy, reprezentowani przez kapelę **Silver Wolf's**, najlepiej czującą się w dość ciężkim country-rocku. Pomimo trwających ze dwadzieścia minut przygotowań, nie znaleźli niestety czasu na nastrojenie gitar i głosów. Za to jak zwykle znakomicie wypadli Czesi. W kraju dysponującym armią siedmiuset zespołów, w większości bluegrassowych, nietrudno jest o świetnych instrumentalistów i stylowych wokalistów, ale perfekcja tego rocznych gości, grupy **COP**, budziła szczerze uznanie. Gdzieś w połowie stawki uplasowałbym pol-



Elizabeth Cook z zespołem Colorado; fot. Ewa Dąbrowska



George Hamilton V, fot. Iwona Józwiak

ską formację **Whiskey River**. Ich lider, Antoni Kreis, pochłonięty w równym stopniu country i folkem, a nawet bluesem, trochę rozmija się z zainteresowaniem mrągowskiej publiczności. W dodatku eksperymenty ze sztucznie rozbudowanym, pięciominutowym utworem, raczej irytują, niż podwyższają noty. Jednak w Mrągowie Antoni Kreis mógł się pochwalić nie lada atutem, w osobie młodzieńczej, ślicznej jak poranek i bardzo zdolnej debutantki, **Marysi Gorajskiej**, bez wątplenia najzdolniejszej z tych, których widziałem w tym roku po raz pierwszy. Świetnie śpiewała sama, ale ich duety też brzmiały pięknie. Wielką niespodzianką był występ rosyjskiego pianisty, **Denisa Madżukowa** z własną grupą **Off Beat**. Przez pół godziny, na wzór i podobieństwo swego idola, Jerry Lee Lewisa, wspólnie grał i śpiewał rock&rolle. Obawiałem się, że młody człowiek nie wytrzyma ekspresji i tempa jakiego sam sobie narzucił, ale go nie doceni-



Tomasz Szwed i Zespół Opieki Zdrowotnej; fot. Ewa Dąbrowska

tem, na końcu był głosowo równie sprawny, co na początku. Szkoda, że nie przełamał szybkich utworów (śpiewał nawet *Let's Twist Again!*) jakąś wolną balladą, ale i tak będzie się o nim pamiętało. Zwyciężyli sympatyczny Chrowaci, którym jak widać opłacało się jechać dwie doby pociągami przez Wiedeń do Mrągowo. **Crooks & Straights** z Rijeki, bo o nich mowa, jako bodaj jedyni u siebie uprawiają country, ale robią to nieźle: ich nagrania pomieszczono na płycie *International Country Music Sampler*, wydanej w USA przez niezależną wytwórnię Comstock Records z Arizony. Solidnie wykonane country z głównego nurtu mogło się podobać.

Gwiazdą pierwszego dnia był **Billy Joe Shaver**. Mówiąc brutalnie, jest on mało znany poza Stanami, choć to jeden z największych twórców piosenek country. Willy Nelson twierdzi stanowczo, że drugiego tak wspaniałego nie ma. Zanim zaczął pisać, był niespokojnym duchem, miał się tysiąc zajęć, wachał przez lata nawóz krów i mulów. Nie odmawiał sobie prochów i whiskey, wielokrotnie bywał na dnie. Teraz o tym wszystkim pisze i śpiewa. Obca mu wszelka poza i blichtr. Mówią, że **Shaver** jest kowbojskim poetą i jakkolwiek sformułowanie trąci sztucznością, jest to twierdzenie prawdziwe. Na estradzie wydaje się trochę nieporadny i mało widowiskowy. Czasem podkreśla rytm klaskaniem, podgrywa kilka akordów na gitarze, czasem rozkłada ręce, a najczęściej po prostu stoi z palcami włożonymi do kieszeni. W znacznym stopniu na tak ograniczony ruch ma wpływ nie najlepsza kondycja zdrowotna artysty. Niczego nie udaje, jest naturalnie swobodny, a przecież widać, jak się w nim w środku gotuje. Jego głos, lekko szorstki, nawet chropawy, potrafi być ogromnie czuły, gdy śpiewa o miłości i o Bogu. Jeśli ktoś szuka potwierdzenia, że country w swej istocie jest muzyką szczerą i praw-

dziwą, winien był spędzić tę niezwykłą godzinę z Nim. Mistrz przywiózł z sobą kilku muzyków, wśród nich gitarzystę, Jesse Taylora, co grywał z Bobem Dylanem i The Rolling Stones. Jednak najbardziej zdumiewał basista. Już przy drugiej piosence zapalił papierosa i nie wyjmując go z ust nie tylko grał, ale i śpiewał drugim głosem, na dodatek tykając piwo z puszkil

Zgodnie z tradycją, pierwszy i drugi dzień zaczęli debiutanci. Dobre wrażenie zrobiły na mnie dwa zespoły, **Country Band Mrągowo**, a przede wszystkim **Vermond City**. Lider tego drugiego, Krzysztof Romaniszyn, już wie o co w country chodzi, na dodatek błyskawicznie potrafi nawiązać kontakt z publicznością. Przed jego kapelą jeszcze huk roboty, ale materiał na ciekawą grupę w przyszłości widać. W sobotę pokazali się też sympatyczne dzieci, laureaci festiwalu w Rypinie.

Pierwszą z „dorosłych” piosenek była **Kasia Bochenek z Black Horse**, z programem zawierającym głównie utwory świetnie znane. To z pewnością sprawna wokalistka, śpiewająca czysto i ładnym głosem, ale brakuje jej charyzmy. Mówiąc najkrócej, nie porwała. Sytuacja zmieniła się radykalnie na jej korzyść, gdy wykonała przebój nad przeboje, *I'm Crazy*. Na szczęście zaśpiewała go prościutko jak trzeba, i dostała rzęsiste, zasłużone brawa.

Z przyjemnością konstatuję, że ciągle w doskonałej formie znajdują się **Honky Tonk Brothers**, największa sensacja zeszłorocznego festiwalu. W charakterze frontmanów występują bracia Marcin i Robert Rybczyńscy. Słusznej postury, obaj dobrze śpiewający i grający na gitarach, skupiają na sobie uwagę widzów. Tuż za nimi jest żywiołowa, świetna skrzypaczka, Katarzyna Kolczyńska, ale tak naprawdę o jakości strony muzycznej, poza perkusistą, Zbigniewem Tarasiewiczem i pończonym gitarzystą stalowym, Arturem Konwińskim, decyduje przede wszystkim jeden z najlepszych gitarzystów jakich słyszałem w Mrągowie, Tomasz Ślotała i główny dyrygent, grający na instrumentach klawiszowych, Andrzej Walus. Ośmielam się twierdzić, że bez tych dwóch ostatnich bracia Rybczyńscy byłiby zdecydowanie mniej ciekawi. Po stronie pozytywów trudno nie zauważyć również chwytliwych melodii i dobrych tekstów, dalekich od ciągłego małego porywającego przeciętnej. Świetna, choć nie nowa, była ballada o zgorzkniałym, nikomu już niepotrzebnym górniku.

Po raz trzynasty w Mrągowie zaprezentowała się grupa **Colorado**. Łódzcy weterani, dowodzeni są przez gitarzystę, autora i wokalistę, Janusza Nastarowicza i Leszka Laskowskiego, grającego na pedal steel guitar. Gdyby pan Leszek mieszkał w USA, zapewne byłby co roku nominowany do nagrody za grę na swoim instrumencie, bo opanował go w stopniu absolutnie mistrzowskim. Potwierdzają to sami Amerykanie, którzy niejednokrotnie korzystali z jego wsparcia na pikniku. **Colorado** proponują odmianę współczesnego country z dużą domieszką rocka, ale proporcje obu stylów są szczęśliwie dobrane. Nastarowicz, co warto podkreślić, ma również świetny kontakt z publicznością, duże poczucie humoru i nie opowiada z estrady dyrdymała, jak przytrafia się co drugiemu „zopowiadaczowi”. Nawiasem mówiąc, kiedy słyszę po raz setny wrzeszczące pytanie „dobrze się bawicie?”, natychmiast odbezpieczam rewolwer. Zespół pełnił również funkcje wyborczego akompaniatora dwójki kolejnych gości zza oceanu. **George Hamilton V** występował już z nimi wielokrotnie, nagrał nawet płytę *Live In Łódź*, zremasterowaną w USA. Sam George jest z pewnością blisko rocka, do tego bardzo żywiołowego. Widać to również w sposobie interpretacji, z nieodłącznym klękaniem na estradzie i potrząsaniem długą czupryną, na szczęście utwory wykonywane przez niego wyraźnie wpływają z ducha country. Tuż po nim wystąpiła młodzianka **Elizabeth Cook**. Cóż za przeciwieństwo! Piosenkarka i autorka w jednej osobie, jest typem dziewczyny z amerykańskiej prowincji. Wysoka i szczupła blondynka ubrana w jasną, zwykłą sukienkę, budziła sympatię już na konferencji prasowej. Jest szczerą aż do bólu, kiedy opowiada o tacie, który zdrowo pociągał bimber, ale na skutek śpiewów córki został abstynentem. Jej repertuar stanowi bardzo tradycyjną, akustyczną odmianę country, którą zresztą bardzo sobie cenię. Śpiewa wysokim sopranem, troszeczkę przez nos, jak niegdyś również młoda Dolly Parton. Do dziś tak się wykonuje wiejskie piosenki na Południu, gdy wieczorami muzykują całe rodziny. Jej mąż, Tim Carroll, podobno już wzięty w Nashville autor, napisał z nią kilka piosenek, a ponadto towa-



Alicja Boncol z córką Oliwią; fot. Ewa Dąbrowska



Honky Tonk Brothers; fot. Iwona Józwiak



formacja taneczna Strefa Country; fot. Ewa Dąbrowska

rzyszył żonie grając na gitarze. **Elizabeth** od trzech lat występuje w Grand Ole Opry, zdążyła zaśpiewać we wspólnych koncertach z największymi jej gwiazdami. Na końcu, oczywiście po obowiązkowym okrzyku *Kocham Polskę!*, dostała wielkie brawa. W odpowiedzi zrzuciła buty i wykonała improwizowany taniec radości. To się nazywa południowa fantazja!

Po gościach rzetelny powrót do krajowego country zaprezentowała poznańska formacja **The Medley**. Doświadczeni i wykształceni muzycy dochodzili do country, czy może muzyki Południa, z różnych stron. Potrafią grać wszystko, jak zawodowcom przysłało i robią to bardzo dobrze. Ze stroną wokalną już nieco gorzej. Owszem, solista Przemysław Myszkowski śpiewa ciekawie, ale aż się prosi, by grupa wprowadziła więcej chórków, na razie odczuwam znaczny niedosyt śpiewania wobec grania. Ciągłe też lepiej mi się ich słucha niż ogląda. Pod tym względem, choć nie tylko pod tym, **The Medley** zrobili spory krok naprzód, ale w dalszym ciągu do estradowego ideału trochę daleko, a szkoda!

Z okazji dziesięciolecia swego śpiewania, z półrecitale wystąpiła ulubienica Mrągowa, **Alicja Boncol**. Już jej poprzednie występy ka-zały zwrócić na nią baczną uwagę, ale w tym roku była bez wątpienia najlepsza. Proszę Państwa, z pewną odpowiedzialnością za słowo chcę powiedzieć, że to najlepsza w tej chwili piosenkarka w Polsce, bez podziału na jakiegokolwiek style wykonawcze, potencjalna wielka gwiazda. Nie widzę nikogo, kto mógłby jej dorównać pod względem warunków głosowych, umiejętności wokalnych, czy temperamentu sceniczne-

go. Potrafi być uwodzicielska, po chwili wrzasać, a za moment robić oko do publiczności. Co ważne, nie ma w niej cienia pozy. Kiedy po którejś piosence dostała kwiaty, wymknęło się jej: „jasna dupa”, ale przecież nikogo to sformułowanie nie uraziło, przeciwnie, było manifestacją przyjaźni z widzami. Do pomocy ma świetny zespół, dwie ciekawe piosenkarki w chórkach, a także własną córkę, odważnie radzącą sobie na estradzie. Cały ten „aparatus wykonawczy”, łącznie z gośćmi zaproszonymi do uczestnictwa w jubileuszowym koncercie, pracował z nią w Mrągowie bezbłędnie. Oczywiście, mimo posiadania w repertuarze specjalnie dla niej napisanych piosenek, byłoby świetnie, gdyby znaleźli się chętni na jego wyraźne poszerzenie. Z uporem też twierdzę, że przydałby się naszej gwiazdzie zaufany człowiek, który opracowałby scenariusz i doradził najważniejsze środki ekspresji scenicznej. **Boncol**, jak mówią wyjadacze estradowi, to wspaniały samorodek, wymagający teraz dookreślenia. Jak by na to nie patrzeć, spotkanie z nią było jedną z największych przyjemności podczas tegorocznego pikniku.

Drugi dzień miał również szczególną i miłą dla oka oprawę. Oto z okazji dziesięciolecia istnienia w Polsce klubów tańców amerykańskich, zaproszono do udziału w wieczorze trzy znane zespoły: **Scenę Country** i **Rodeo** działające w Warszawie i poznański **Saloon**. Wszystkie tworzyły barwne przerywniki, złożone z kadryli, polek i tańców liniowych. Ba, był nawet kankan! **Saloon** dołożył popisy kaskaderskie, co jeszcze bardziej urozmaiciło tę część wieczoru.

Niedziela zaczęła się countrową mszą w kościele św. Wojciecha, rozpoczętą oczywiście hymnem *Amazing Grace*, w wykonaniu **Lonstara** i członków **Honky Tonk Brothers**. Aż dziw, że dotąd nikt nie wpadł na taki pomysł! Zaraz potem przez miasto przemknęła parada motocykli i samochodów, a już o 16.00 rozpoczynał się ostatni tegoroczny koncert. Jego pomysł wzbudzał mieszane uczucia, bo połączenie country z szantami wydawało się dość egzotyczne, choć teoretycznie uzasadnione: ci, co przyplynie do Nowego Świata, z żeglarczy przedzierzgnęli się w kowbojów. Również z muzycznego punktu widzenia źródła były wspólne, tym niemniej mało widzów nastawiało się na budujące przeżycia artystyczne. Szybko okazało się, że sceptycy nie mieli racji, a Korneliusz Pacuda, pomysłodawca koncertu, wiedział co robi. Niech żałują ci, którzy przedwcześnie wyjechali! Czołowi polscy specjaliści od szant, **EKT Gdynia**, **Stare Dzwony**, a zwłaszcza **Mechanicy Shanty**, to w pełni profesjonalne grupy,

którym umiejętności warsztatowych nie brakuje. Jak oni znakomicie śpiewają! Gdy **Mechanicy Shanty** rozpoczęli swój program dwoma tradycyjnymi utworami śpiewanymi czystiutko a capella na cztery głosy, oniemiałem. W dodatku jakie świetne własne piosenki, jakie dowcipne teksty, niewymuszony kontakt z widzami, których kupili już przed pierwszym utworem! Rewelacyjna grupa! Z perspektywy tego koncertu nagle niektóre zespoły country, grające w poprzednich dwóch dniach, wydały się zbyt ciężkie, pozbawione finezji i wdzięku. Jakoś szantowcy potrafią swoje opowieści o ludziach z morza, z tawerny, o tych czekających na najważniejszy rejs w życiu, przegranych, którym zabrano książeczkę żeglarską, przedstawiać ciepło, a do tego prawdziwie. Może więc „Korek” Pacuda zrobił niektórym niedźwiedzią przysługę? Niedzielnym koncertem prowadził **Tomek Swed**. Słusznie, bo akurat on, zawieszony między folkiem a country, bystry komentator rzeczywistości i autor piosenek o zwyczajnych ludziach, nadaje się do tego najlepiej. Między innymi wykonawcami wtrącał swoje muzyczno-poetyckie komentarze, by w końcu zaproponować pół godziny dobrze znanych utworów, z towarzyszeniem świetnego jak zwykle **Zespołu Opieki Zdrowotnej**. Słuchałem ich z przyjemnością, dołączyłem się do refrenu o kelnerce Aldonie, lecz nie ukrywam, że wołałbym wysłuchać nowych piosenek pana Tomka. Drugim, doskonale dobranym do charakteru tego dnia zespołem, była **Grupa Furmana**. **Andrzej Trojak**, jej twórca, jest bezsprzecznie szalenie interesującym autorem. O rzeczywistości pisze z perspektywy przedwcześnie dojrzałego mężczyzny, uwikłanego w węzeł zawiloci świata. Broń Boże nie wynika z tego, że to nudziarz i pesymista, przeciwnie, wiele poważnych przemyśleń umie obrócić w żart. **Grupa Furmana**, na przekór solidnemu warsztatowi muzycznemu – wszak grają głównie bluegrass – jest dla mnie formacją nie wyrosłą całkiem ze studenckich konotacji, w dobrym tego słowa znaczeniu. Gdyby zainteresowali się nimi radiowcy, z całą pewnością potrafiliby zamieszkać!

Było już ciemno, gdy na koniec szantowcy z towarzyszeniem tylko jednej gitary zaśpiewali pieśń o kei, co to jak życie zbliża się, oddala i przemija. Nikt nie chciał, ani na scenie, ani na widowni, by ta chwila się skończyła. Jakiś chłopak, który tańczył ile wleżało na tawce obok mnie, nagle się wzruszył. Podał mi rękę: „Przyjedź pan za rok?” Odkrzyknąłem: Jasne!

Marcin Andrzejewski



Andrzej Trojak, solista Grupy Furmana; fot. Ewa Dąbrowska



Zejman &amp; Garkumpel – koncert Szantry; fot. Iwona Józwiak